

Zbigniew Rajche, *Moja Canossa*, Organon, Zielona Góra 2011, 180 s.

Matką porzekadeł, sentencji i ich licznego rodzeństwa jest na pewno refleksja. Ojcem powinien być więc rozum, jednak, jak to z ojcostwem bywa, pewności nie ma. Czasem jest nim błąd... myślowy. Jednym z takich dzieciąt „nieprawych” jest powiedzenie, że kłamstwo powtarzane nieustannie, w końcu staje się prawdą. To oczywista nieprawda, ale zapal siejących zamęt bywa skuteczny. Oto w naszym kraju, ponoć dumnym ze swojej historii, panoszy się dla niej pogarda, w najlepszym przypadku lekceważenie. Bo iluś mędrków ogłosiło, że mamy (kto?) dość zwracania się ku przeszłości, trzeba o niej zapomnieć, bo pożytek z niej żaden, a ona nie pozwala iść do przodu. Dowiadujemy się (ja z przerażeniem), że zgodnie z tym postępowym trendem nawet zdający na historię zdawać jej nie muszą, więc pewnie i znać też. Niewiarygodne, a jednak.

Jak wobec tego przekonać młodych ludzi, że trzeba i warto historię poznawać? Nie wiem, ale gdyby nakłonić (może konkursem audio-tele – to żart oczywiście) do czytania nie podręczników, lecz żywych książek, relacji świadków, byłaby jeszcze szansa na odwrócenie katastrofy, jaką może być utrata przyszłości. A na pewno roztopienie się i zatopienie w unifikacji: współczesnej nowomowy, para- kultury, niemyślenia. Zwłaszcza rezygnacji z myślenia na własny rachunek, czyli odpowiedzialność, na rzecz o ileż łatwiejszego posługiwania się podsuwanymi atrapami myślowymi, czyli schematami.

Taką oto „przemową” obmyśliłam poprzedzić zachętę do czytania oraz polecenia jako lektury nie tyle obowiązkowej, co należnej, dzieła 83-letniego mieszkańca Zielonej Góry, pana Zbigniewa Rajche, pt. *Moja Canossa*, które zostało wydane w lipcu 2011 r. przez Organon. To niezwykle zapis życia, śmierci i historii, niezwykle na każdym poziomie, a z uwagi na narratora, bohatera i sposób przekazu trafi do każdego, kto zdolny jest odczuwać. Niezależnie od wieku. O ile znajdzie drogę do czytelnika. Uważam, że jeśli nawet nie w całym kraju, to przynajmniej w Lubuskiem powinna trafić na listę lektur szkolnych. Koniecznie!

Świadomie, a nie na wyrost użyłam określenia „dzieło”. Nie jest to powieść, ani pamiętnik, ani nawet relacja, natomiast znaczenie tego przekazu stawia dokonanie autora w rzędzie najważniejszych zapisów z czasów Zagłady. Książkę, w jakiś sposób także dzieło życia, ofiarowuje i poświęca autor: **„130 tysiącom ludzi zamordowanych w latach 1941-1943 na cmentarzu żydowskim w Stanisławowie”**. To nader ważne: ludzi. Tylko niewielka ich liczba nie była Żydami, ale autor, inaczej niż bodaj wszyscy, pisze „ludzie”. Proszę spojrzeć uważnie. Prawda, że mordercy wyznaczyli Żydom los szczególny, jednak autor, wiedząc i widząc to, widzi nie Żydów, a po prostu ludzi na śmierć pędzonych. To ważne, wobec dziwnego sposobu mówienia i myślenia rozróżniającego w ten sposób śmierć, niezależnie czy patrzy się na Zagładę jako Żyd czy Polak. A śmierć nie ma narodowości, wyznania, pochodzenia. Autor raz i drugi powtarza: „Tam giną ludzie. W innym miejscu: Jeden strzał i po wszystkim. Ktoś przestał żyć. Jakiś człowiek umarł... Kto? Nie wiadomo, ale na pewno umarł człowiek. Rozumiecie? Umarł!”.

Książka jest tryptykiem. Dwa skrzydła okalają delikatną miniaturę, ołtarzyk miłości młodzieńczej. Tak czystej, pięknej i silnej, że wręcz musiała być przez los przeniesiona z dramatycznego, straszliwego świata wprost między gwiazdy. Jakaż to wielka sztuka zawrzeć w tak niewielkiej i prostej formie bezmiar rodzącego się pierwszego uczucia, świadomego siebie,

ale raptem przeczuwającego nieznaną jeszcze siłę! Uczucie to bowiem wyrasta niczym kwiat paproci w ciemnej nocy otaczającego zewsząd koszmaru śmierci, przerażających spraw „dorosłego świata”, którymi – miast młodością i uczuciem – przyszło żyć bohaterom, niemal dzieciom jeszcze. Dreszczem grozy, ale i niezmiernego wzruszenia przenika miłość i dojrzałość tej pary, rozdzielonej nagle i już na zawsze. Tej części, pt. Czerwona sukienka autor nadał znamienity podtytuł: „opowieść romantyczna”. Wziął go, i słusznie, w cudzysłów. Bo jest romantyczna w najlepszym rozumieniu słowa, ale ileż goryczy w tym słowie przy takiej treści!

Czytałam, myśląc z przykrością i żalem o dzisiejszych rówieśnikach Alinki i Zbigniewa. Z może naiwną resztką nadziei pomyślałam: gdybyż oni przeczytali tę opowieść! Wielki romantyk marzył, by jego poezja zjadaczy chleba w aniołów przerobiła... Niechby już nie w aniołów, niechby jednak Moją Canossę czytali młodzi ludzie, może bodaj w czujących ludzi by ich „przerobiła”... Ludzi, którzy nie wstydzą się wzruszeń, pięknych słów i dobrych uczuć. Współczesnych i bezpiecznych, jak im się zdaje (oby!), ale nie lekceważących historii. Jak pisał Norwid – „Przeszłość – to jest dziś, tylko cokolwiek dalej. Nie jakieś tam coś, gdzieś, gdzie nigdy ludzie nie bywali”.

To centrum książki. Nie w sensie, że część najważniejsza, jako że wszystkie wzajemnie się dopełniają i oświetlają, ale jest jej jakimś zwięźnięciem. Bo miłość, wbrew tym, którzy niosą śmierć, jest uwzniośleniem życia. I nie jest ważne, czy ta historia zdarzyła się, czy nie lub czy dokładnie tak, ona po prostu jest prawdziwa za sprawą rzeczywistego talentu autora.

A co stanowi skrzydła tego tryptyku? Pierwszym jest relacja owego kilkunastoletniego chłopca, który mieszkał nieopodal cmentarza żydowskiego, na którym w ciągu kilku lat „nadludzie” mordowali tych, których pozbawili wszelkich praw ludzkich. Także, a może przede wszystkim prawa do godnej, własnej śmierci i pochówku. 130 tysięcy istnień. Chłopiec spisał to, co widział z bliska, z okienka na strychu, co widział ot, przechodząc ulicą. Niemcy wszak nie kryli się z tym, że właśnie tak mordują Żydów. Ich przede wszystkim. Ale chłopiec zadaje sobie pytanie: „dlaczego oni pozwalali nam na TO patrzeć?”. Właśnie, dlaczego?...

Nie sposób cytować najbardziej celnych spostrzeżeń, najbardziej wstrząsających scen, bo wszystkie są takie. Trzeba natomiast podkreślić szczególną wartość wyróżniającą tę relację z setek innych zapisów. Autor (a jest nim przecież chłopiec), widząc te tysiące idące „w konduktach własnych pogrzebów”, „czekających w kolejce na śmierć”, widzi śmierć pojedynczą! Każdego zamordowanego z osobna. Nie od razu, ale takiego widzenia się uczy. W ten sposób czyni coś, czego dotąd badając nikt z piszących nie uczynił. Zbrodnię, o której na ogół mówi się w kategoriach „masowych”, w jakiś sposób unicestwia, przywracając Ofiarom ich własną, indywidualną śmierć. Zatrzymuje w oczach i pamięci, jak w kadrze, ostatnie spojrzenie konającego, ostatni krzyk, gest, wyrzucenie ramion w górę, bywa, że dumny protest głowy wysoko podniesionej, oczu patrzących oprawcy prosto w nieludzkie oczy. A widząc w ten sposób choćby kilkadziesiąt osób, widzi każdego osobno. Nie ludzi, nie tłum, lecz człowieka.

Zbigniew Rajche ma talent, na pewno. Ale cóż po umiejętności sprawnego pisania, „barwnego” (słowo tu oczywiście mało odpowiednie), żywego opisu, talencie nawet, gdyby zabrakło do głębi ludzkiego odczucia? Kiedy toczyły się po wojnie debaty o sztuce po epoce krematoriów, niektórzy wręcz koniec sztuki wieszczyli. Bo czy i jak można o TYM mówić? Otóż

można. I trzeba. Nawet dziś, a może znów dziś. Ale nie jak Nałkowska, której zabrakło czucia i wycucia, a wobec tego w Medalionach napisanych nie z potrzeby serca, lecz na swoiste zamówienie, słyszy się jakieś fałszywe tony. Nie jak Borowski nawet, który był zbyt obciążony i porażany własnymi doświadczeniami, by był w stanie z tym sobie poradzić. Sięgam celowo do lektur szkolnych i twierdzę, że o „TYM” trzeba pisać właśnie tak, jak Zbigniew Rajche. Tylko tak. Bez zabiegów artystycznych, bo te są tutaj nie na miejscu. Ale także bez tzw. dystansu, bo i on niestosowny. Przeciwnie. Całym sobą: „Przyciskam twarz do zimnej szyby i patrzę, patrzę... Nieznana, przemożna siła przypiera mnie do zakurzonej ściany, ręce kurczowo zaciskają się na belce, a oczy szeroko otwarte są T A M. Jestem cały w tych oczach. Wszystkie zmysły, cała osobowość dwunastoletniego chłopca skupiła się w oczach. Są tylko oczy, które muszą TO widzieć”.

Rzecz nie do pojęcia, przerażająca, ale tym bardziej ktoś, kto jak autor był świadkiem, nie może w kostium chłodnego filozofa się przystrajać, a przeciwnie, winien krzyczeć i oniemić ze zgrozy. I taką właśnie jest relacja Zbigniewa Rajche. Czasem cmentarną, porażającą ciszą. Jak cisza po wystrzale kończącym ludzkie życie. Czasem, gdy trzeba, rozpaczliwym krzykiem. I wołaniem o pamięć nie dla bezimiennych tłumów idących na rzeź, ale o przywrócenie człowieczeństwa tej dziewczynce z niebieskimi kokardkami, temu chłopcu ze słoiczkiem papryki, matce, która usiłuje ukryć swoje dziecko pod stertą ubrań, kobiecie spod płotu, patrzącej śmierci w twarz, starcowi, którego ostatnie spojrzenie spoczęło w oczach narratora... „Całość z tej odległości jest abstrakcyjną gmatwaniną, ale fragmenty przerażają wyrazistością. Trzeba tylko na chwilę zatrzymać wzrok na wybranym fragmencie...” Nie ma na opisanie tego, co widział autor, słów odpowiednich, a jednak – Zbigniew Rajche potrafił słowa znaleźć. Proste słowa. Gdzie nie można inaczej, brutalne, by brutalność nieludzkiej śmierci tych ludzi oddać. Talent? Tak, na pewno. Ale autor słów szukał nie w umyśle, nie w „poetykach”, nie w pomysłach na „formę”, a w sercu.

Na okładkę książki wybrałam fragment z opowieści pt. Bławatki w oknie, o śmierci małej dziewczynki z błękitnymi kokardkami, wyglądającej ciekawie, a nieśmiało przez uchylone okno, zastrzelonej przez żandarma ot tak, dla zabawy i z uciechą. Porażający „obrazek”. Tylko ten jeden choćby, gdyby znalazł się w tzw. wypisach, mógłby powiedzieć i uczynić więcej dla nauki historii (wszak jej sens nie tylko w datach, wydarzeniach, paktach i zdradach) niż najgrubszy podręcznik. Równocześnie jest to miniatura godna najwyższych laurów, gdy idzie o pisarstwo.

Trzecią częścią, zamykającą całość i powracającą w wielu fragmentach do początku, jest relacja Zbigniewa Rajche z jego wytęsknionej, wyśniewanej wręcz podróży na Kresy. Część niezwykle ważna. I także – jak całość – przynosi szereg spostrzeżeń odmiennych, od tych, które na ogół takim pielgrzymkom towarzyszą. To nie nostalgia, żal za utraconym, czasem i nienawiść do tych, którzy tę własność odjęli. Niektórym refleksje mogą się wydać kontrowersyjne, ale wszystkie podyktowane są głębokim, humanistycznym namysłem autora nad losami ludzi, narodów, nad dziejami. Myśleniem odpowiedzialnym i na własny rachunek.

Z jakże innymi uczuciami jedzie Rajche w rodzinne, utracone strony, niż bodaj wszyscy inni. Jedzie, nie jak pielgrzym, a raczej pątnik, jak do Canossy. Dom rodzinny, miejsca rodzinne – tak, oczywiście. Przejść ulicami swojego miasta, tak, koniecznie! Ale nie tam kieruje swoje pierwsze kroki. Idzie na cmentarz żydowski... Idzie w poczuciu obowiązku i z potrzeby serca.

Tej najprostszej, pokornej: oto ja żyję, więc mam wobec nich wszystkich obowiązek. Pokłonić się tym, których zapamiętał na zawsze. Tej małej dziewczynce z błękitnymi kokardkami, kobiecie dumnie patrzącej mordercy w twarz, tym wszystkim, których widział, których śmierci towarzyszył. Patrzył. Póki nie zrozumiał, nie zobaczył ich pojedynczej śmierci – patrzył z jakąś, jak sam mówi, dziecięcą, okrutną ciekawością. I nie odwracał oczu. Dlaczego? Najpierw nie rozumiał, ale chyba pojął, że może właśnie dlatego, by mógł swoje świadectwo dziś przekazać tym, którzy mówią: nie chcemy historii, dość martyrologii, chcemy tylko chichotać, śmiać się ze wszystkiego, bo życie powinno być nieustającym powodem do zabawy i radości.

Teraz wrócił w miejsce, gdzie ledwie niewielki obelisk przypomina o tym, co tam się działo. Trawa zarasta, a tuż za wiejskim ogrodzeniem, ale i dokładnie w tych miejscach, gdzie pod spodem ukryte wielkie „groby” – ludzie uprawiają swoje ogródki działkowe. Być może nikt inny nie pamięta. Nikt, jak on. Dlatego właśnie jego pamięć jest tak ważna.

Jakże znamiennymi słowami zamyka Moją Canossę: **„Jestem ostatnim uczestnikiem tamtych niesamowitych wydarzeń. [...] Jestem ostatni. Choć nie. Mogą jeszcze żyć SS-mani. Oni przecież byli tacy młodzi...”**.

Cóż, nie wiemy jak i czy w ogóle oni o TYM pamiętają.

Maria Miłek